

Przegląd teatralny.

Repertuar Warszawskich Teatrów wzbogacił się podczas jeśnienego sezonu nie jednym nowym utworem, obok tego różne starsze utwory przygotowano na nowo na scenę. Poświęcimy dzisiaj uwag kilka „Rozmaitościom” i przejrzymy ważniejsze przedstawienia ostatnich miesięcy. Z nowych zasługuje na większą uwagę i dla obszerności rozmiarów i dla ciekawości przedmiotu.

Złoty Młodzieniec komedia w 5-ciu aktach p. St. Bogusławskiego. Czy nazwa komedyi właściwą jest dla tej sztuki, okaże się później; tyle pewna, że od kilku miesięcy napelnia salę i bawi publiczność, do czego się głównie przyczynia p. Żółkowski. Ukazał się zresztą nie jeden rozbiór, nie jedna krytyka w tutejszych czasopismach; jeżeli więc tak późno poświęcamy wzmiankę utworowi, znanemu już publiczności naszej oddawna, to jedynie z tego powodu, że w pierwszym naszym teatralnym sprawozdaniu nie chcieliśmy pominąć milczeniem pracy autora, dobrze zasłużonego z wielu względów naszej scenie. Bo któż z nas nie zawdzięcza choć kilka wesołych wieczorów p. Bogusławskiemu, a że *Złoty Młodzieniec* powiększa ich liczbę, pokazuje publiczność dostatecznie. Jednakże wesołe usposobienie nie jedynym celem, za którym chodzimy do teatru ani jedyną korzyścią, jaką mamy z niego wynosić. Pamiętam wiele sztuk, mianowicie francuzkich, na których śmiałem się do rozpuku przez wieczór cały, a nazajutrz byłem rozstrojony i wcale mi się nie miało na śmiech, jak po nocy przepędzonej przy szampanie. Gdy refleksya odzyska swoją władzę i rozbiera chwile minionej wesołości, wtedy nie zostając więcej pod magicznym wpływem mimiki aktorów, odkrywamy często czczość niewymowną tam, gdzieśmy widzieli przedtém wesołą treść życia, a rubaszność lub wymuszoność tam, gdzie przedtém dowiep serdeczny. Ale to ogólne uwagi, nie tyjące się żadnej sztuki z osobna: przejdźmy do *Złotego Młodzieńca*. Treść jego taka:

Majętny szlachcic Radost wyprawia na usilne prośby żony jedynaka swego Edwina do Warszawy, aby się tam przetaił i dokończył, co to zowią edukacyi. O życiu w stolicy nie ma ojciec żadnych bliższych szczegółów, wyjąwszy że ma bajeczne długi i że mu wciąż trzeba posyłać pieniędzy; gdy nareszcie ojciec stanowczo oświadczył, że nie więcej nie da, wraca Edwin do domu po trzechletniej niebytności. Ojciec widzi przed sobą mężczyznę, obwijanego starannie w futra i szale, z artystycznie wykończoną fryzurą i z sztywnym wąsikiem, w modnym kusie ubraniu; po pierwszej zaraz rozmowie przekonywa się, że syn nie wiele skorzystał w Warszawie, że obręb wiadomości jego nie sięga po za

kuchnią Stępkowskiego, wagnerki i różne panie dość dwuznacznej sławy. Syn afektuje obojętność na wszystko, krytykuje ostro niedostatki życia na wsi i wyraża się z zamiarem rychłego powrotu do stolicy, którą opuścił chwilowo tylko, dla braku pieniędzy. Ojciec znowu mając szczerą chęć wyrobić mu społeczną pozycyą, namawia go, aby się starał o rękę młodej, bogatej wdowy która sąsiaduje z nimi. Wkrótce przybywa Klara, tak się nazywa ta ciepła wdówka, w odwiedzinach do Radostwa, ale zjawia się na nieszczęście i Zdzisław, gorący wielbiciel jej wdzięków, z nieodstępny przyjacielem doktorem Henrykiem. Regina, daleka krewna Radostów i nie mała kokietka, uzupełnia obraz. Rozpoczyna się niebawem walka rywali. Edwin nie robi na paniach szczególnego wrażenia, popisując się ustawicznie znajomością kuchni, zresztą co do Klary, sprawa jego przegrana oddawna, gdyż tak kocha Zdzisława. Edwin mimo to jej się oświadcza, ale w sposób głupi i niegrzeczny, czem naturalnie straciwszy resztkę względów, jeżeli miał które u nadobnej sąsiadki, ucieka się do intrygi: znalazłszy kopertę adresowaną do Zdzisława włożył do niej list miłosny, który odebrał niegdyś w Warszawie, i rzuca na stole. Ale tym zgubił się zupełnie; Klara bowiem zobaczywszy list ów niby zapomniany i przeczytawszy go z ciekawości, obwinia zrazu Zdzisława o niewiarę. Regina przecież znając list ów, wyprowadza ją w sam czas z błędni i dowodzi, że zapewne Edwin go podrzucił w Zdzisławowej kopercie. Konczy się wszystko na tem, że Klara w obec wszystkich oddaje rękę swoją Zdzisławowi, Regina kokietuje z doktorem, a Edwin, wyśmiany przez wszystkich, zostaje jak zamroczony Hamlet sam z myślą swoją. Ponieważ nie nauczył się myśleć w Warszawie, nie wymyśleć nie może; chciałby wracać do Warszawy, ale nie ma pieniędzy, zgadza się więc na propozycyą ojca, osiada na odstąpionym sobie folwarku i bierze się do gospodarstwa. Otóż i szkielec sztuki. Wypełniony dobrmi dowcipami, komicznymi sytuacyami, wesołemi anegdotkami, przyobleczony w lekkie, zgrabne wiersze, podtrzymywany nareszeie wyborną grą dwóch pierwszorzędných aktorów, p. Rychtera (w roli Radosty) i p. Żółkowskiego (w roli Edwina), potrafi zabawić i rozśmieszyć publiczność; śmiałem i ja się mimowolnie wieczór cały, ale gdy w domu zastanawiał się nad powodami wesołości, nie wydały mi się już tak zabawnemi, jak przedtém.

Zaczawszy bowiem od Edwina, od głównej osoby, ta została zupełnie fałszywie naszkicowaną; przypomina może czasem dowcipem lub słówkiem złotego młodzieńca, ale nim nie jest, tak jak mundur generalski, zawieszony na kij, nie jest generałem. Ale tak sobie postąpił autor: z kilku urywek, przypominających ton złotej młodzieży, uszył szatę, myśląc że marynetka w nią ubrana będzie prawdziwym złotym młodzieńcem. Mamy garść pełną dowodów, popierających nasze twierdzenie, ale ograniczamy się na jednym. Jeżeli kto, jak Edwin, obracał się przez trzy

lata w towarzystwie dobrze wychowanej młodzieży, a trudno zaprzeczyć, żeby złota młodzież nią nie była, to przyswoił sobie bezwątpienia tyle lekkości w obcowaniu i tyle elegancji w mowie, że się zdołał na kilka zgrabnych komplementów dla pięknej pani i że ją potrafi zabawić przynajmniej pół godziny. Na to odpowie może nie jeden, że się zdarzają czasem tak tepe głowy, że i dziesięcioletni pobyt w dobrém towarzystwie nie nadaje im żadnego poloru, być może, ale wtedy indywiduum takie stanowi wyjątek i nie może być typem całej klasy. Ile razy zaś wprowadzamy do komedii typ jakiś społeczny lub towarzyski, powinniśmy wybrać na to jednostkę najdoskonalszą, nie najgorszą; gdy ktoś ma zamiar pokazać na scenie Don Juana, nie wyprowadzi mazgaja, który nie doprowadził ani jednego romanisu szczęśliwie do końca, lecz bohatera liczącego kochanki swoje na tuziny. Otóż gburowatość, niezgrabność, zapominanie języka w gębie można przypiąć do każdego innego, byleby nie do złotego młodzieńca; wszystkie zaś te wady Elwina występują w jaskrawém świetle w sławnej scenie oświadczeń, która niestety jest punktem grawitacyjnym całej sztuki: Edwin oświadcza się tam pięknej, dobrze wychowanej, młodej wdowie, której ręka ma stanowić o jego przyszłości, w sposób, któryby każda panna służąca znalazła co najmniej rubasznym.

Jeżeli tak główna osoba sztuki została i źle dobraną i fałszywie pomyślaną, byłoby zbyt cennym właściwie zastanawiać się nad innemi, podrzędniejszymi figurami, ale dziwna rzecz, że te zamiast uwydatnić ujemne strony głównej osoby, czego należało się spodziewać, podnoszą ją jeszcze w oczach widzów. Bo jakże niepojętnie wyglądają rywale Elwina, Zdzisław i doktor: pierwszy zupełnie błady i rozplywający się cedzi przez zęby stereotypowe frazesa o enocie, obowiązkach, poświęceniu i inne tym podobne komunały; drugi z pustym uśmiechem wiecznie na ustach, robi czasem wrażenie zupełnego sowizdrzała, w którym żaden rzeczywisty doktor nie poznałby swego kolegi. Przyznam się zresztą, że najchętniej nie miałbym nic do czynienia z żadnym z tych trzech młodzieńców, ale gdyby mi przyszło koniecznie wybrać z pomiędzy nich towarzysza, wolałbym Edwina, bo on jeszcze najmniej nudny i posiada jedną przynajmniej dodatnią zaletę, rozwiniętą do wysokiego stopnia, znajomość kuchni, co jest rzeczą bardzo ważną; ale w jego antagonistach nie mogłem się dopatrzeć podobnie dodatnich przymiotów. A to wielka szkoda dla sztuki, gdy główna osoba wydaje się lepszą, niż zamierzył autor, bo przez to ginie sens moralny sztuki.

Autor zapewne nosił się z myślą, że życie złotej młodzieży, zbyt długo przeciągane, przytępia w człowieku wszystkie myśli i uczucia do tego stopnia, że staje się niezdolnym zupełnie, aby dopiąć celu, jaki każdy mąż dojrzały powinien mieć przed sobą: jeżeli kto w młodości siał plewy, to później wygląda nadaremnie plonu. Przedstawić tę prawdę, jest bez wątpienia zamię-

rem wielkim i szlachetnym, a zarazem jedyną drogą, którą złoty młodzieniec może zostać bohaterem romansu lub komedyi. Twierdzenie to wymaga pewnych wyjaśnień.

Nie ulega wątpliwości że nazwa złotego młodzieńca bardzo jest popularną i znaną prawie wszystkim; ale pytanie, co to złota młodzież? Nazwa jej i pojęcie, jak wiele innych rzeczy, importowane do nas z zagranicy, z nad Sekwany; żeby więc zrozumieć kopią, przypatrzmy się pierwowzorowi. Otóż każdy z czytelników naszych wie mniej więcej, co to paryzka *jeunesse dorée*, gdyż spotkał się choćby w romansie z którym jej przedstawicielem. W Paryżu młodzieniec z dobrej i bogatej rodziny, złożony egzamin bakkalaureatu, poświęca lat kilka temu, co nazywa poezią życia, potem czyni rozbrat z poezią, żeni się i przychodzi do pracy. Łatwo odgadnąć na czem się zasadza jemu poezya życia: zapisawszy się do cerklu, żyje z rówieśnikami swemi, uczęszcza mało do salonów, tyle tylko ile przyzwoitość lub stosunki wymagają koniecznie, większą zaś część czasu poświęca swoim: chodzi do cerklu, przejeżdża się po lasku Bulońskim i po polach Elizejskich, bywa na wyścigach i na pierwszych przedstawieniach w teatrze, urządza wesołe kolacye, w których biorą udział przyjaciele jego i tak zwany półświat żeński. Ale ta poezya kończy się po kilku latach: młody panicz wybiera sobie towarzyszkę życia i zamienia wyuzdaną rozmaitość poezyi na regularną, jednostajną prozę salonów; życie bez celu zastępuje życiem czynnem, zmierzającym do pewnego celu, zostawszy albo agronomem na wsi albo politykiem albo finansistą w stolicy. Dałoby się zapewne nie jedno powiedzieć przeciw takiemu pojmowaniu poezyi życia i takiemu używaniu młodości: pessimista zawoła, że owa poezya wycieńcza ducha i ciało a podkopuje nieraz wielkie fortuny. Wszystko to prawda, bo każdej rzeczy używać można na złe i na dobre, jednakże przypomniemy pessimistom że większość francuzkich ministrów i wyższych dygnitarzy, wielu mężów stanu, wielu zawołanych agronomów i finansistów przeszło przez taką młodość ozłacaną i więcej z niej wynieśli korzyści niż szkody. Nawet bankier zapatrujący się zimno i trzeźwo na rzeczy, uważa za rzecz wcale naturalną, że syn jego przez lat kilka użyje życia z wolą zupełnie nieograniczoną, i widzi w tém rękomią, że później będzie tém rozsądniejszym. Zresztą jest to zjawisko tak naturalne i wynikające z porządku rzeczy, że młodzież powinna wyszumieć, jak mówią ludzie rozsądni, że tak zwana złota młodzież wcale nie jest wyłącznie francuzkim wyrobem, lecz istniała zawsze i wszędzie. Jeżeli w Paryżu więcej o niej mówią, niż gdzieindziej, to dlatego jedynie, że tam ma większą widownię i więcej środków popisu.

Ale za tém idzie, że złota młodzież, napotykana w wszystkich krajach i za wszystkich czasów, objawiająca wszędzie te same dążności i skłonności, choć czasem pod inną nieco formą, ma w sobie coś kosmopolitycznego, bladego, niewyrobionego, tak

jak dzieci lub studenci nie tylko z mundurka lecz i z wielu innych rzeczy do siebie są podobni. Pytanie więc, czy młodzieńcze owa szumiąca może dostarczyć z grona swego głównego bohatera do komedyi. Na to odpowiadamy stanowczo, że nie. Komedia jak każda prawdziwa poezja, powinna być oparta na indywidualności, t. j. nie powinna chwycać rysów, w których jednostki do siebie są podobne, lecz malować przedewszystkiem te, w których się wyróżniają od siebie, inaczej nie stworzy jasnych, wydatnych charakterów, inaczej żaden z nich nie będzie skończoną w sobie całością, punktem grawitacyjnym, ciągnącym ku sobie wszystkie drugorzędne postacie, światłem, przyświecającem przebiegowi akcji. Ale czyż złoty młodzieniec potrafi być takim charakterem? on działa, myśli, czuje jak koledzy jego i atmosfera, wśród której żyje, on dopiero wyrabia się ale bynajmniej nie jest wykończonym. Póki jest młodzieńcem, sposób życia jego dla nas jest dosyć obojętnym, czyni jego i dążności nie mają po większej części wybitnego celu, a czy były złe lub dobre, okażą dopiero późniejsze następstwa. A żeby potępić ten sposób życia, okazać go śmiesznym lub zgubnym, trzeba koniecznie postawić obok niego skutki, a te zjawiają się dopiero w późniejszym życiu. Dopiero później złoty młodzieniec stanie się tragicznym lub komicznym, gdy on przedłuża nad miarę złoty sposób życia a towarzysze młodości jego tymczasem wyszli na mężów; wtedy okażą się przykre kollizyje, między nim a rzeczywistością i wtedy dopiero, nie przedź, zajmuje nas jego postawa. Ale jakież złe skutki spadły na głowę Edwina, wystarczające aby potępić jego pobyt w Warszawie? sprowadzają się wszystkie do jednego, że nie skorzystał tam dosyć, aby zasłużyć na miłość pięknej Klary. Nie przeczę, że to czasem skutek bardzo ważny, ale wtedy był autor powinien wykazać, że sposób życia przeciwny do Edwinowego skutecznie doprowadza do celu. Usiłował to uwydatnić na rywalu jego Zdzisławie. Alena nieszczęście Zdzisław jest dosyć bladą figurą, ledwo jedrém pociągnięciem ręki nakreślona. O ile się domyślam, żył na wsi, pracował, zapewne nad agronomią, czytał różne książki, obcował z rozsądnymi ludźmi, tym sposobem wyrobił sobie pewien sąd o rzeczach, pewną treść duchowną i pewne formy towarzyskie. Autor daje do zrozumienia, że gdyby Edwin był się udał tą samą drogą, byłby dosięgnął tegoż celu. Ale przypuścimy, że to się stało w istocie. Edwin wyjeżdżając do Warszawy musiał mieć najmniej lat dwadzieścia, po trzech latach wraca nieokrzesanym, bez treści i bez uczuć, obojętnym na wszystko. Trudno zaprzeczyć, że trzyletnie używanie życia, nie tylko w Warszawie, lecz i gdzie indziej może z niejednego zrobić to, na co Edwin twierdzi że sam wyszedł, *un homme blasé*, ale przeczę stanowczo, żeby dwudziestoletni młodzieniec, chowany w dobrym domu, nie wynosił z niego pewnych form towarzyskich, pewnego zasobu wiadomości i pewnej summy uczuć, których żaden pobyt trzechletni za domem nie zdoła zatrzeć zupełnie. Jeżeli więc Edwin wraca

z Warszawy gburem, nieukiem, egoistą i Bóg wie, czém jeszcze, to prawdopodobnie już wyjechał takim z domu. Jeżeli zaś do dwudziestego roku życia dom rodzicielski nie nie potrafił zrobić z niego porządnego, to i następne trzy lata przepędzone w tej samej atmosferze, przy uczciwej pracy, w sąsiedztwie Zdzisława i narwanego doktora, nie byłyby z niego zrobiły kawalera, zawracającego głowy młodym wdówkom.

Podobnych nieprawdopodobieństw jeszcze wiele w sztuce, ale przytoczyłem z nich tylko kilka, tak sobie bez ładu i porządku, w miarę jak mi przychodziły na pamięć pod wrażeniem niedawno widzianej sztuki. Gdy się teraz czytelnik przeczytawszy krytykę naszą, cierpką bez wątpienia ale sprawiedliwą, zapyta, czemu utwór mimo ułomności swoich zachwyca publiczność, odpowiem jak wyżej: język potoczysty, dobre dowcipy i wyborna gra aktorów porwają nas ze sobą i wprawiają w serdeczną wesołość. Gdyby zresztą autor przezwiał był utwór swój krotochwilą, byłby sąd mój wypadł zapewne inaczej, bo co innego jest sądzić krotoczwilę, a co innego komedię. Jeszcze słów kilka o grze aktorów. Rolę Radosta odegrał p. Rychter w sposób nie pozostawiający nic zgoła do życzenia; rola zaś Edwina, najtrudniejsza w całej sztuce, również wybornie pojętą została i oddaną przez p. Żółkowskiego: jego gra nieporównana już wielu sztukom pomogła do powodzenia. Przecież zdawało nam się, że Edwin wyglądał na zbyt dojrzałego mężczyznę, że głos jego był zbyt męzki i twardy. Razi to nieco, gdy przypominamy sobie, że Edwin najwięcej może mieć lat dwadzieścia trzy, a gdy nareszcie dobrej tuszy mężczyzna siada na kolanach ginącej przy nim matki: to śmieszna pozycja, ta zrazu wprawdzie wzbudza wesołość, ale ogólne wrażenie, które po niej zostaje, nie jest wcale estetycznem, lecz nawet nieco rubasznem.

Inną nowością jest mała krotochwila młodszego Fredry, pod tytułem „*Przed śniadaniem*.” O tej sztuce chciałbym koniecznie powiedzieć co dobrego, żeby publiczność nie posądzała mnie o umyślne uwłaczanie wszystkiemu; ale po długim szukaniu, nie mogę się zdobyć na inny komplement dla autora, jak że pisze gładkim językiem i że czasem jest dowcipny. Ujemne zaś strony małego utworu, a których trudno pokryć milczeniem, odbierają wszelką wartość komplementowi, z serdecznym moim żalem. Bo nie wiem nawet, czy to coś, co widziałem na scenie, można nazwać utworem: nazwałbym to przedrzeźnianiem utworu. Bo wystawcież sobie państwo! Młody gimnazysta, złożywszy szczęśliwie egzamin dojrzałości, wraca do ciotki na wieś z napuszoną miną; tam spotyka się w ogrodzie z towarzyszką swoich lat dziecinnych, która wygląda go z wielkiem utęsknieniem, wiedząc naprzód że ciotka przeznacza go jej na męża. I kocha go już namiętnie, bo wszystkim młodym pensyonarkom wydaje się, że kochają niezmiernie. Otóż zoczywszy go w ogrodzie bieży ku niemu z radością, ale on ją wita bardzo zimno i sztywnie, pozując na

mężczyznę. Ona jest naiwną i serdeczną jak dawniej, a on z prawdziwem pobłażaniem spogląda na jej dziecinne pomysły. Jemu się naturalnie o miłości nigdy nie śniło. Nareszcie odchodzi, pogrążając ją przez to w głęboką rozpacz. Ale dobre serce jego bierze górę nad pozowaniem: głos sumienia mu mówi, że zapewne przykreść uczynił przyjaciółce i nagle odkrywa, że ją kocha szalenie. To odkrycie podsusza mu najpotworniejsze myśli, jakie kiedy powstały w głowie gimnazysty, zamierza się zabić i to rafinowanym sposobem. Ona dowiedziawszy się o tem szuka go po ogrodzie, on zamiast kark skrócić tylko potłukłszy się trochę spadnięciem z konia, biega także po ogrodzie, szukając jej wszędzie. To bieganie jest jedyną zabawną akcją w tem nudnem coś; kończy się zaś wzajemnem spotkaniem, a gdy służący zastawił śniadanie, wpadają sobie w objęcia pod czulém okiem zjawiającej się ciotki, i zabierają się do rzeczy arcyważnej dla gimnazysty, nawet gdy już skończył kursa, do śniadania. Sztuczka ta przypomina tokiem mowy i dowcipami wodewile francuzkie, ale te są mniejsze, bo przynajmniej w nich jakieś treściwsze osoby. Tutaj mamy parę dzieci, bawiących się w bajronizm i sentymentalność, do których w ich duszach nie ma najmniejszego powodu. Jest to para karykatur, ale nudnych i bladych, zatem role ich dla aktorów arcy niewdzięczne.

Ale zakończmy przegląd ten czémś lepszem. Po lichotach owych widzieliśmy „*Sztukę i Handel*” p. *Kaszewskiego*. Autor nazywa tę komedję bardzo skromnie przerobieniem francuzkiego oryginału, ale przerobienie to stało się nowym, samodzielny utworem: każdy wyraz o tem świadczy, że to sztuka ulana z jednego kruszcu, a jeżeli zagraniczne pomysły weszły do tego kruszcu, to zlały się z nim w masę tak jednolitą, że każdy dźwięk jej czystym, wnikającym do duszy; każdy wiersz jej, a wszystkie pełne męskiej siły, przemawia do nas, że to utwór naszego, nie obcego poety. Mamy tam prawdziwą komedję, jest akcja i są działające osoby, a każda z nich typem rzeczywistym, indywidualnym, niejako sylwetką przesuwającą się w półcieniu. Ale na co opowiedzieć tu treść sztuki, która znana jest publiczności od lat wielu? na co wychwalać grę aktorów, ocenionych przez widzów kompetentnych także oddawna? Rzucam tylko myśli będące wynikiem osobistego wrażenia. Wdzięczni jesteśmy dyrekcji, że po długiej przerwie wróciła nam ten utwór zachwycający. Bo przy naszym bladym repertoarze, gdzie przeważają liche tłumaczenia blahych wodewilów, zapewne nie małej wagi rzecz, przepędzić wieczór w wyższem usposobieniu i wśród myśli idealnych. To zaś zdarza się nam, ile razy znajdujemy się w obec tej sztuki. Mamy wtedy przed sobą ideę, wcieloną w wielkiego artystę, który sam jest jej wymownym tłumaczem, ideę, że kult piękna tylko takich przypuszcza kapłanów, którzy mu się oddają z całym sercem i z duszą całą. Klemens X... w młodości

miął wszelkie dary, potrzebne kapłanowi piękna: miał zdolności wielkie i ogień natchnienia i tworzenia siłę. Sztuka sama wybrała go sobie na ucznia, rozławszy po nim najpiękniejsze swoje dary. Ale prędzej wielbłąd przejdzie przez uszko igły, niż bogaty do królestwa niebieskiego. To samo powiemy o uczniach sztuki. Gdyby X.. nie był nic miał, jak nadzieję, byłby stał się wielkim; ale ponieważ nie zdołał się wyrzec sam siebie, i porzucić doczesne widoki, ponieważ chciał obok świata idealnego uprawiać także marne zyski doczesne, przeto odjęto mu skarb, którego nie zużytkował, jak niewiernemu słudze talent w Nowym Testamencie i okazał się małym. Na artystę stworzony chciał najprzód intratnym kupiectwem zabezpieczyć swój majątek, myśląc że zawsze czas jeszcze wracać do Muz nieśmiertelnych; ale gdy dokazał, czego pragnął, wtedy już nie miał na czołe znaku wybranego, nie był niczém zgoła, bez przeszłości i bez przyszłości, i jak sam powiada, artystą być nie chciał, a kupcem być nie umiał. Zapewne wydadzą się ludziom XIX wieku główne myśli tej komedyi wybujałemi, bo oni do płaskości przyzwyczajeni nie podniosą się do nich nigdy, przecież nawet dla episerów korzystną jest rzecz, jeżeli choć czasem oddychają idealnijszym powietrzem. A tego pełnemi chausty ciągnąć można z tej komedyi, a czego same słowa nie potrafiłyby nigdy, bo ludzie dzisiejsi czytają z pośpiechem, bez uwagi, to uzupełnia gra nadzwyczajna aktorów. Mianowicie scena owa na początku czwartego aktu, gdy nieszczęśliwy kupiec zadowolniony nareszcie, że może wracać do sztuki, siada do fortepianu, którego nie tknął przez lat ośmnaście, a palce wypowiadają mu posłuszeństwo, wtedy ta boleść, większa niż Laokonowa, występując na twarz artysty, ocieniając ją wyrazem niesłychanej rozpacz, ta chwila w której Królikowski jest największy i w której wątpię żeby ktoś mógł go przewyższyć, do tego stopnia owłada widzami, że wstrzymują oddech i że nawet pocziwe episerskie serce bije gwałtowniej niż zwykle. Ale czas zakończyć to sprawozdanie nasze. Ja ile razy byłem na tej sztuce opuściłem zawsze salę podniesiony w duchu, czułem się natchnionym i lepszym, niż przed przybyciem, i myślę że większość czytelników wyniosła to same, co ja, wrażenie ze sali. Dla tego nie wstydzę się mojej głośnej spowiedzi. Ale wtedy, dzięki autorowi, który nam sprawia takie chwile, zdarzające się tak rzadko w tej jednostajnej naszej, bladej rzeczywistości i dzięki artystom, którzy ideę autora wcieliłi w dotykalne postacie i uzmysłowili przed nami.

Dnia 19 stycznia.

Stefan Pawlicki.

